



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.



JEZUS CHRYSZTUS POMIĘDZY UCZNIAMI W EMAUS.

I stało się, gdy siedział z nimi u stołu, wziął chleb, i błogosławił, i łamał, i podawał im.
I otworzyły się oczy ich, i poznali go,

Ewang. Św. Łukasza R. XXIV, w. 30 i 31.

EMAUS.

Palmowe wzgórki płonęły w zorzy wieczornej, na gładkich liściach fig przydrożnych plamki słoneczne się chwiałały, pasma żółtych stokrotek i błękitnego lnu snuły się po murawach, a droga z Jeruzalem do Emaus, o tej godzinie leżała cicha i złota, jak wstęga, na zielonych piersiach Ziemi Świętej.

Po chwili, zatrzeszczał piasek pod stopami dwóch przechodniów, młodych, podobnych bardzo do siebie, pokrewnych może krwią lub duchem, w jednakich brązowych płaszczach, o jednaki, pogodny, ogorzałych licach, nie zorażonych jeszcze walkami życia i wewnętrznych bojów. Smętni jednak byli obaj i zakłopotani jeszcze; wspólna troska pochylała ich czoła, ospałe nieco wejrzenia wodzili po gasnącej różowo linii wzgórz, to znów z głową spuszczoną szli przed siebie, milcząc, w podobnej obaj bezradności na gnębiący ich smutek.

Na drogi zakręcie, cofnęli się żywo, trochę zdziwieni, ujrawszy obcego człowieka, który niespodzianie z nimi się złączył, a tak był piękny i pogodny jak ten wieczór wiosenny, taki pewny siebie jak ta szeroka, prosta droga idąca przed nimi, wyglądał tak świątecznie jak te łąki palestyńskie zasypane o tej porze roku nadmiarem kwiecia, przesiąknięte wonią ziół i jagód.

— Pokój wam! — Rzekł nowy towarzysz, zdejmując na powitanie swój wielki, ogrodniczy kapelusz. Młodzi pielgrzymi spojrzeli po sobie... Kędyż jest Ten, który ich witał podobnym pozdrowieniem? i w utęsknieniu opuścili głowy.

— Dlaczegoż smętni jesteście? — spytał nieznamy, a na głos jego zadrżeli młodzieńcy i podnieśli nań wzruszone spojrzenia.

— Dlaczegoż dusze wasze pełne mroków, choć tacy wy młodzi jeszcze i świat przed wami?

— Ach, towarzyszu miły, — brzmiała odpowiedź, wieleśmy mieli, wieleśmy utracili... Ten, który był z nami długo, który był naszym światłem, mocą i radą, nie masz go...

— A cóż się z nim stało?

— Gorzko wspominać — ukrzyżowan jest... zmartwychwstać miał... a niemasz go między nami!

— Niemasz? — powtórzył obcy człowiek, wzrok płomienny zanurzając w źrenicach młodzieńców, — wiecież wy na pewno?

Zapytani rozłożyli ręce ruchem zwątpienia.

— Nie masz... — mówił dalej nieznamy z smętnym uśmiechem na ustach.

— Nie wiemy gdzie go szukać... czekaliśmy... może już nie znajdziemy... i żal nas owładnął...

— Więc powiadacie, że niema go między wami! — westchnął wędrowiec, a ręce złożywszy na piersiach, wsparty o drzewo przydrożne mówił do nich głosem przenikliwym:

— Może go tylko szukać nie umiecie... wszak on był wierny zawsze swoim przyrzeczeniom... maluczko... powiedział — a ujrzycie mnie! Dlaczegoż zmora zwątpienia was opadła? i oczy ślepe macie na światło jego obietnic? Jam jest droga, i prawda, i żywot, mawiał do was, — a wy go na prostej drodze serc waszych znaleźć nie umiecie, rozumujecie wiele, a mało odczuwacie; niepokojem tęsknoty chcecie go znaleźć, a nie jasnowidzeniem miłości, która jedyna jest prawdą, i życie marnujecie na bezowocnych narzekaniach, które do celu nie wiodą. Zaprawdę, powiadam wam, mali jesteście duchem, a w ciasnocie serc waszych, doniosłość obecnej chwili pomieścić się nie może. Jak dzieci poddani jesteście wrażeniom, które mijają, złudzenia w moc was biorą i dusze wasze nie dojrzewają w ogniu wielkich wypadków...

— Jaktó! zaledwie dni parę, jak umarł na krzyżu za was, a wy dziś już wiarą od niego dalecy, już niepewni jego mocy, zwątpiali!

— Jakoście się bali fal morza burzą wstrząsanego choć on był z wami na łodzi, tak teraz nie

czujecie go blisko, choć on jest przy was, tuż... O, małowierni! Kiedyż dusze wasze tak zprzeczyścieją, że Boga w nich czuć będziecie, jak kwiat czuje w kielichu swym rosę i słońce...

Młodzieńcy spojrzeli po sobie ciekawie, żalownie, i odwrócili łzawe oczy od tego nieznanego człowieka.

— Czegóż płaczecie?

— Bo mowa twoja przypomina nam Mistrza i żal za nim w nas zbiera...

— Słyszycie słowa, a ducha nie czujecie! Słuchajcież — jam jest!

Mówiąc te słowa, obcy człowiek przeobraził się nagle, jasny krąg otoczył mu głowę, twarz zajaśniała potęgą boskiego majestatu, roztworzył do nich ręce, na dłoniach widniały ran ślady...

Z krzykiem radości padli mu do nóg uczniowie:

— Mistrzu, to Ty!

— To ja... a nie poznaliście mnie, choć serce moje było tuż przy waszym.

— Smutek nas zaślepił, o, Panie, w zgnębieniu nie czuliśmy twej obecności. Dozwól, abyśmy innych szli pocieszyć szczęśliwą wieścią...

I w radości pobiegli uczniowie dalej, a na złotej drodze, w świetle wieczornej zorzy, stał Mistrz samotny, niepoznany, nieodczuty, bolejący jak na krzyżu nad ślepotą człowieka, który na wszystkich świata gościach w bezwiednem, a tęsknem zniechęceniu, rozmija się — z Bogiem...

Mijały czasy, wieki, zjawiały się błędy, błyskały ocknienia; człowiek szukał prawdy choć ją miał w ręku, myśliciel szukał przyczyny, choć jej wyniki żyły i tętniały ruchem odwiecznym dokoła, poeta szukał piękna, a rozmijał się z własnym nieraz natchnieniem, i męczył się nad zagadką tworzenia, nad tajemnicą pieśni, nad sfinksem losu swego społeczeństwa, na szerokiej, złotej, via sacra życia, tęskniąc do pełnego odczucia i dopięcia celu... A tymczasem droga myśli ludzkich leżała nieraz pusta, bezludna; karawany wrażeń ciągnęły leniwo, wioząc tani towar codziennych szkieł, małych poruszeń, niecierpliwych, a płytkich uniesień, które jak krople rzadkie wsiąkały bezowocnie w jałowy zniechęceniem grunt ducha... Więc ludzie zamykali się w samotności, zatapiali w wiedzy, czytali, badali dzieł stopy, analizowali po mistrzowsku najdrobniejsze stany serca i zmysłów, jednak nuda ich opanowywała, bezradność gnębiła, a wyników nie było i nie było!...

— O, małoduszni! jakież ciasne mamy serca, jakie płytkie dusze, jak tchórzliwe wole, jak my się z ręcznie rozmijać umiemy na szerokich szlakach z tą miłością, — która sama jedna nową przyszłość stwarza!...

Szczęścia.

NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Książę wrócił bardzo zadowolony z wizyty w szkolnym domku i przy czarnej kawie po obiedzie opowiadał o niej, dziwiąc się otwarciem, że pani Żarnowiecka Władysława Kręckiego nie zna.

— Bardzo, bardzo mili ludzie, — mówił. — Pana Kręcka, to osoba dystyngowana, trafem tylko, — nieszczęśliwym obrotem spraw majątkowych, zmuszona pracować na tem polu. Co przytem za siła moralna, co za pogoda ducha u tej kobiety! Przyzwyczajona do dobrobytu,

do najlepszego towarzystwa, uczy brudne wiejskie dzieci i ani pomyśli, że jej krzywda się dzieje. Pannę Kręcką chyba zna pani hrabina? Pani Żarnowiecka trochę się zmieszła.

— Tak, naturalnie... Ale à propos, Kamilko, — dodała, — musimy koniecznie pójść kiedy do szkoły... powinnam podziękować pannie Olimpij za Janinę...

— Dawno już mama miała ten zamiar, — odrzekła Kamilla tonem, w którym nie wiadomo co górowało, czy uznanie słów matki czy delikatna wymówka.

Książę chciał wiedzieć za co pani Żarnowiecka dziękować miała... Hrabina więc opowiedziała na swój sposób o chorobie Janiny, żaląc się nad swoją krzywda — i o pomocy panny Olimpij.

Janina nie chcąc słuchać tego co wiedziała, że ją zirytuje, uciekła...

Roman, wiecznie obserwujący Janinę, zauważył, że chmurka jakaś wisiała jej na czole — chmurka, której rano nie było... Co mogło być tego powodem? rozmyślał długo i jako wytrawny znawca ludzi, prawie się domyślił, że Natalia w tem rączkę swoją umoczyła... zapewne wtedy, gdy wracając z Kamillą zastał je obie na werandzie.

— Osa puściła żądanko... — szepnął do siebie i poszedł szukać Janiny, chcąc się dowiedzieć, czy jego domysły były trafne.

Ale daremnie przebiegł cały ogród i zapuścił się do lasku na park przerobionego — Janiny nigdzie ani śladu nie było. Usiadł nareszcie na ławeczce, na tej samej gdzie przed paru tygodniami Janina spoczywała, wracając od panny Olimpij po swoim tam pobycie. Oparł głowę na rękę i zamyslił się; kapelusz odłożył na bok, rękę zanurzył we włosy i siedział tak długi czas, prawie nieruchomy.

Nagle, szybkie kroki odzywające się w pobliżu, obudziły go z zamyślenia; podniósł głowę i spojrzął, Janina zbliżała się od strony domku szkolnego. Nie widziała go; duży kapelusz okrywał jej głowę spuszczoną, szła prędko, spieszyła się zapewne. Roman poruszył się, nie wstając, żeby jej nie nastraszyć, gdy go ujrzy z nienacką. Popatrzyła, zatrzymała się przez mgnienie oka i puściła się znowu w drogę.

— Okropnie się zapóźniłam! — rzekła, — muszę co prędzej wracać, bo godzina podwieczorku nadchodzi.

— Gdzież pani bywała? — spytał Roman, idąc koło niej, — szukam panią od wieków...

— Byłam u panny Olimpij... — odrzekła swobodnie, — chciałam pierwsza złożyć jej życzenia z powodu zmiany na lepsze, jaka zaszła w życiu jej siostrzeńca... Och! ale nie wiedziałam, że i jej także wieszować mi wypadnie... Niech pan sobie wyobrazi jaki nieoceniony ten książę... Sam zaproponował pannie Olimpij, że przyjdzie jej z pomocą — tytułem pożyczki! — bo taki delikatny, że wiedział, iż inaczej propozycja jego odrzucona by została... Otóż pożyczka pannie Olimpij pieniędzy na otwarcie pensjonatu... Biedna moja pocziwa stara przyjaciółka! Płacze z radości i plany roi na przyszłość... Po egzaminie w szkółce tutejszej, jedzie do Lwowa, rozpatrzy się, rozpyta... i już nie będzie tutaj wyczerpywać sił swoich... Co pan na to mówi?

— Zadzroszczę Brunonowi... — odrzekł ze smutnym uśmiechem, — to tak miło przyczynić się do czyjego szczęścia!

— Pan także powinien brać udział w tem szczęściu, — zauważyła. — Dobry duch pana natchnął, że przywiozłeś tutaj tego zacnego człowieka...

Szybko jak strzała mignęła Romanowi myśl, że prędzej Janina była powodem obecnego jak zwąla — szczęścia swojej znajomej. Gdyby nie ona, Romana by tu nie było, a więc i książę nie byłby przyjechał... ale nie mógł jej tego powiedzieć...

— Kto wie!... — rzekł tylko niejasno. — Pani dziś miała jakąś przykrość, panno Janino... — dodał nagle, nie tracąc sposobności, żeby jej powiedzieć to, co go najbardziej obchodziło; ona się spieszyła, do pałacu już było niedaleko, ani chwili do stracenia...

— Ja? — zapytała zdziwiona i nagle pochyliła głowę; przypomniała jej się rozmowa z panią Natalią... Jakim sposobem on mógł się domyśleć?

— Niech się pani nie zapiera, — mówił tymczasem poważnie. — Złośliwość albo zazdrość pewnej osoby zdrasnęła panią...

— Ależ!... kto panu to powiedział?

— Panią Wieluńską znam dobrze, obserwuję pilnie a przenikam na wskroś... Czem panią zdrasnęła?

Ona wyjść z podziwu nie mogła... przystanąła i patrzyła na Romana milcząco przez chwilę, jakby zdziwiona.

— Pan się w ten sposób o pani Wieluńskiej wyraża?... pan? — rzekła w końcu.

— Dla czego pani to tak zadziwia? czy pani sądziła... że jestem jej ślepym wielbicielem, jak tytu innych...

— Nie... — rzekła z wolna — myślałam tylko, że... pan ją... kocha!

Roman spojrział na Janinę szeroko otwartymi oczami, oniemiał, a nareszcie śmiać się zaczął, szczerze, serdecznie z tak dziwnym wyrazem uszczęśliwienia na twarzy, że i ona mu zawtórowała, ale jakaś pomięszana... i nagle znów pobiegła naprzód.

— Panno Janino! czemu pani tak śpieszy? — wołał za nią i pochwycając bez ceremonii jej rękę, zatrzymał ją w miejscu.

— Śpieszno mi! — broniła się, — pan wie, że mi śpieszno!... muszę iść.

— A... niech sobie choć raz poczekają z herbata! co mnie to obchodzi...

Był dziwnie śmiały dzisiaj i rozpromieniony, uśmiech z ust mu nie schodził.

— Niech mi pani powie — ale zaraz! bo pani czasu niema... — mówił żartobliwie. — Co pani mówiła pani Natalia o mnie?

Widziała, że nie uwolni się inaczej, więc choć ciągle mocno zdziwiona z kąd on takie dokładne posiada wiadomości, powiedziała mu w krótkich i oględnych słowach, co jej Natalia mówiła.

— Nienawidzi mnie i pragnie szkodzić na każdym kroku... — rzekł Roman. — Ale mało mnie to obchodzi! Czy pani jej wierzy, panno Janino? — dodał poważnie.

Spojrzała na niego i nagle, sama nie wiedziała jak się to stało — ogromna ufność obudziła się w jej sercu dla tego człowieka.

— Nie! — rzekła cicho ale stanowczo. — Pani Natalia ma żal jakiś do pana, widać, ale w żalu tym nadto rozdrażnienia i przesady. A teraz, uciekam!... — dodała z pośpiechem i frunęła boczna ścieżką jak ptak ścigany...

XI.

Minęło dni kilka. Wieczór tańczący, bal raczej, w dzień imienin pani Żarnowieckiej, świetnie się udał. Dla Janiny pamiętny to był wieczór, bo na nim, po raz pierwszy tańczyła... upoważniona i uproszona przez Kamillę za nią, ale pełną niezadowolenia zgodą jej matki. Prawda, że potem biedna Janina nasłuchać się musiała moralnych napomnień bez liku, przeplatanych francuzkami wykrzyknikami... ale to teraz tak często się zdarzało! Hrabina co chwila miała coś do zarzucenia młodej sierocie, co moment wynajdowała pilne dla niej zajęcie, byle wysłać ją z pokoju, byle między gośćmi nie była. Ale Janina nie zastanawiała się teraz zbyt nad powodami takiego postępowania i nie brała nic do serca.

W niej także zaszła dziwna, ale radośna zmiana; czuła się lekką, silną, wesołą, a przypisywała to tej okoliczności, że miała wszelką nadzieję, iż wkrótce stanowcza zmiana nastąpi w jej życiu. Oto rozmówiła się z panną Olimpią i postanowiły, że jak tylko ta ostatnia otworzy pensjonat, Janina zamieszka u niej i po złożeniu egzaminu, otrzyma miejsce nauczycielki w tym pensjonacie. Precz więc ze smutnymi myślami! Precz ze zwątpieniem! nadzieja zarobku na chleb własny dodawała otuchy sierocie, umilając ostatnie chwile pod dachem domu hrabiny.

Ale ponieważ pomysłność, tak samo jak nie-szczęście, nigdy sama nie przychodzi, Janina miała jeszcze inne powody do zupełnego zadowolenia. Otrzymała obszerny list od brata, w którym jej donosił, że obecnie był jego zapewniony, z powodu zajęcia się nim przez starego lekarza, będącego jego dawnym profesorem, który czując się starym i podupadającym na siłach, oddał mu całą swoją obszerną praktykę. Dodał, że obecnie, może już siostrę przyjął w swoim domu.

O Kamilli jak zwykle, nie pisał wiele, ale z tego co pisał, Janina domyśliła się, że nie myśli już o niej, jako o swojej przyszłej żonie... To ją ogromnie uradowało, bo czuła teraz, że oni dla siebie stworzeni nie byli; on człowiek pracy z zamiłowania, ona wykwinna i światowa, choć może umiałaby się zastosować z miłości dla niego do nowego trybu życia, nie czułaby się szczęśliwą. Zresztą, Stanisław Walicki nie na żarty był nieodstępny jej towarzyszem... coraz bardziej zacieśniał się ich stosunek przyjazny, bo i Kamilla garnęła się do młodzieńca, po raz pierwszy w życiu nie traktując konkurenta jak nienawistnego wroga.

Oddana tym wszystkim długim myślom promieniała teraz Janina urokiem, który pochodzi z wewnętrznego zadowolenia. Nie przywiązywała wagi ani do ciągłego gderania pani Żarnowieckiej, ani do słodko złośliwych aluzji Natalii, do jej półsłówek rzucanych zręcznie a dotkliwie raniących, ani do spojrzeń prawie pogardliwych, jakimi ją ostatnimi czasy darzyła.

Biedna Natalia w fatalnym była teraz humorze. I ona także poczuła w sobie zmianę, ale innej natury jak ta, którą cieszyła się Janina. Samowolna i lekkomyślna, rządząca się przez całe życie fantazją, Natalia pragnęłaby wszystkich nagiąć do swojej woli; nadto jej się wszystko w życiu wiodło, popsuta była ciąglem powodzeniem i uwielbieniem, jakie nieustannie wzbudzała w około siebie. Z tłumu mężczyzn, którzy od lat kilku przesuwali się przed nią, każdy mniej lub więcej boleśnie raniony został pociskiem jej spojrzenia, każdy dał jej to uczucie, ale wzgardzony, porzucony, kochać nie przestawał... Jeden tylko Roman nie dał się prowadzić na pasku, zerwał się jak szalony, uciekł — i nie wrócił więcej. Bolesniej, niżby ktoś przypuszczał, odczuła Natalia tę ucieczkę. Zraniono jej duszę i miłość własną, a tego żadna kobieta nie przebaczy ani zapomni.

Ufna w potęgę swoich wdzięków i urok nieprzewyciężony, młoda kobieta postanowiła sobie, że musi tego człowieka zdobyć na powrót. I oto fatalnie, okropnie zawiedziona została... Spotkawszy się z Romanem po raz pierwszy od lat wielu, Natalia musiała poddać się oczywistości... Roman, nadto dobrze wychowany aby okazać jej jawnie swoje lekceważenie, starał się tylko być z nią jaknajdalej, na stopie bardzo zimnej, obojętnej... Wtedy po raz pierwszy w życiu Natalia poczuła czem jest gniew, niecierpliwość, umiesienie; stała się nienaturalną, szyderską, uszczypliwą, stała się złą o tyle, o ile bierna zresztą natura jej być nią mogła. Posadzając Romana o miłość dla kuzynki, starała się wpływać na nią ujemnie, psuć interesu konkurenta, i jeżeliby jej się nie udało zerwać projektowanego związku, pragnęła przynajmniej zatrucić goryczą stosunek młodych.

W tym celu zaprosiła się do Żarnek.

Sądono było jednak Natalii, że ciągle będą spotykać ją zawody. Pobyt w Żarnkach przekonał ją, że Roman wcale o Kamilli nie myśli i że ona sama, Natalia... go kocha! to było okropne, przerażające... Tak, nie mogła się łudzić!... przekonała się, że była to jedyna jej prawdziwa, głęboka miłość w życiu...

Cóż było powodem, że Natalia tak niespodziewanie poznała stan swego serca, że w ogóle zastanawiała się nad nim? Powodem tym była zazdrość... zazdrość, rozbudzona przez Janinę.

Przenikliwa i podejrziwa, gdy o nią chodziło, Natalia, z początku nie przywiązując wielkiej do tego wagi, ale w miarę upływu czasu, coraz baczniejsza, przypatrywała się postępowaniu Romana z Janiną i na seryo zaniepokojona, co-

raz więcej podniecona, upatrywała w tym stosunku więcej niż było w istocie. On szalony — znała go przecież w podobnych chwilach — nie zna żadnych przeszkód, gdy mu chodzi o zdobywanie tego, co szczęściem swoim nazywa — miała przecież na sobie dowody! A jeżeli istotnie ożeni się z tą dziewczyną?... W obec podobnych myśli, Natalia czuła, że w głowie jej się mąci... nie mogła go oddać nikomu, nikomu! a tem mniej takiej dziewczynie!... Czem ona była, żeby jego uwagę zwrócić na siebie? czy mogła się porównywać z nią... z Natalią? Och! za wielką śmiałość, moja panno!

Niewinne niby, a pełne złej woli podszepty Natalii, wpłynęły na coraz przykrzejsze postępowanie pani Żarnowieckiej z Janiną. Hrabina, nie lubiąca nigdy młodej sieroty, ulegała tem chętniej wpływowi pięknej pani i uznawała jej rady za całkiem słuszne. Trzeba każdemu wyznaczyć dobitnie jego stanowisko w świecie... Janina nie była stworzoną na wielką panią, nie powinna więc być zajmować miejsca w salonie, gdzie w każdym razie na długo nie pozostanie. Nie trzeba zawracać głowy dziewczynie i lepiej wcześniej przyzwyczajać ją do sfery, w której żyć jej obowiązkiem.

Biedna Natalia nie wiedziała sama ile złego wyrządza sierocie podjurzając na nią panią Żarnowiecką. Potrzebowała koniecznie uznać się komuś na istotę, która ośmieliła się wejść z nią w zawody... Nie darowała nawet i Romanowi. Zapominając o obmyślanej roli anioła dobroci w obec niego, bryznęła mu teraz nieraz w oczy sarkazmem, aż Roman się dziwił...

Tymczasem w Żarnkach przestronniej się nie zrobiło; państwo Przemyscy odjechali do gospodarstwa, panów Żemirskiego i Tomińskiego Natalia wygryzła... wyjechali jak oblani zimną wodą — może... innym ustępując miejsca; lista wielbicieli pani Natalii niewyczerpaną była.

Janina wróciła w posiadanie swego pokoiku, ale pani Żarnowiecka nie puściła jeszcze księcia od siebie. Co prawda, ksiądz nie miał obecnie żadnego pilnego zajęcia; wszystko mu było jedno gdzie przebywa, byle miał swoje książki i mapy, a tych dostarczała obficie biblioteka Żarnowiecka.

Zwykle więc poranki spędzał ksiądz w bibliotece, w towarzystwie Romana i Władysława. Tak! pan Kręcki bywał gościem w domu hrabiny, przyjmowany uprzejmie w charakterze sekretarza księcia, ale na dole, w towarzystwie pań, ukazywał się rzadko, co hrabina uznawała za bardzo taktowne z jego strony, a Roman rozumiał inaczej...

Biedny, zacny Władysław nie chciał się narażać na spotkanie z osobą, dla której pragnął wprawdzie wszelkiego dobra, ale nie mógł dotychczas wyrzec się jej całkowicie.

Władysław obecnie nie miał już żadnych tajemnic przed księciem, który go ujął swoją dobrocią i rozumem i nieraz we trzech, otwarcie rozmawiali o sprawie zajmującej ich z Romanem.

Łagodnie, spokojnie, Władysław namawiał nieraz Romana, żeby wyznał swoją miłość Janinie.

— Nie kryje się przed tobą, że ją jeszcze kocham... — mówił, — ale także otwarcie wyznam, że lżej mi będzie odjeżdżać, gdy będę pewny, że ona pod twoją opieką zostaje...

— Mówisz tak, jak gdybyś był pewny, że ona mi sprzyja... — rzekł Roman. — A kto mi zareczy, że tak jest?

— Wiecznie ta sama nieufność! — wtrącił ksiądz. — Mój Romku, nie każda kobieta podobna do pani Wieluńskiej.

— Och! pani Wieluńska! — zawołał Roman, — to kobieta zła z gruntu, szkodliwa nawet; niepojmuję jak mogłem...

— Tak źle znowu nie jest, — rzekł ksiądz, — sądzisz ją zbyt surowo. Panią Natalię miałem sposobność poznać dawniej i ocenić. Każdy może mylić się w swoim sądzie, ale o ile mi się zdaje, jest to natura dość łagodna, tylko słaba i popsuta powodzeniem...

— Nie wiem czem popsuta, — wtrącił Roman niecierpliwie, — ale to wam tylko powiem, że się jej boję — tak, boję się. Jestem pewny, że ona

byłaby zdolną do wszystkiego, byle swojej fantazyi dogodzić... I dlatego, nie śmiem rozpocząć otwartych kroków... dopóki ona tu jest...

— Gdyby tak było jak mówisz, mogłaby zachodzić obawa, że jest w stanie uprzedzić pannę Janinę przeciw tobie... — odezwał się Władysław.

— Już to uczyniła! — zawołał Roman i opowiedział to co mu Janina wyznała.

— Trzeba chyba przypuszczać, że ona jeszcze w tobie się kocha! — rzekł książę z uśmiechem po wysłuchaniu tej relacji.

— Ach! — zawołał Roman, — ona się kocha!... jestem przekonany, że nikogo w życiu nie kochała i kochać nie może!

— Długo tu jeszcze zabawi? — spytał Kręcki. Na to Roman odpowiedzieć nie umiał, a zapewne i Natalia by nie potrafiła.

Właśnie kiedy panowie rozmawiali na górze, ona przechadzała się w towarzystwie Juliusza po ogrodzie.

Biedny chłopiec, pomimo usilnych starań Natalii, nie wyrzekł się swojej miłości i — nadziei! Nie domyślając się jak nie życzliwą ma słuchaczkę, skarżył się jej ciągle na oziębłość Janiny. Natalię to w końcu niecierpliwiło! myślała długo nad sposobami aby stanowczo odebrać Janinie biednego jej wielbiciela...

— Nie wiem o co panu właściwie chodzi, — rzekła poirytowana, — przecie pan się z nią nie ożeni.

— Jakto, nie ożeni? dla czego nie? — pytał wytrzeszczając bezbarwne swoje oczy.

— Bo nie! bo Adela nie pozwoli!

— Oho! Adela!... Adela może sobie mówić co jej się podoba, — a ja zrobię swoje! Jestem pełnoletni! — dodał z dumą.

— A?... a któż pana tego nauczył? — spytała Natalia zdziwiona.

Juliusz zaśmiał się cicho, podstępnie.

— Był taki co mnie nauczył... — szepnął śmiejąc się ciągle urywanym śmiechem. — Ja pani powiem — ale niech pani nikomu nie mówi... Adela nie ma prawa mi zabraniać... już ja wiem! tak, wiem!

Natalia spojrzała na biedaka, ciągle zdziwiona, z kąd on może mieć podobne wiadomości i natychmiast postanowiła sobie, że Adeli to powie... Ale tymczasem trzeba było zadać ostatni, stanowczy cios.

— Biedny panie Juliuszu! — rzekła ze współczuciem. — Jakże mi żal, że pan tak niewłaściwie umieściłeś swoje uczucia...

— Co, co pani mówi?... nie rozumiem! — przerwał zaniepokojony.

— Mówię, że mi żal pana... bo czy tak, czy inaczej — nic z tego nie będzie...

— Jakto? dla czego? przecież pani mówiłem, że Adela nie ma prawa! Głupi byłem, że się tak długo tem martwił.

— Ależ tu nie chodzi o Adelę! Janina nie będzie żoną pana, bo... bo kocha innego...

— Co? — cofnął się biedak przerażony, a twarz mu bladła zwolna i trząsł się cały. — Kogo... kogo... ona kocha?... — szepnął.

— Kogo? sama nie wiem, ale kocha.

— Zkąd pani wie?... Kto pani mówił?

— Ach, panie Juliuszu! tego przecież panu mówić nie mogę! Zresztą, nie wiem! trzeba patrzeć, śledzić... a może pan się dowie.

Juliusz zakrył oczy dłonią i stał bez ruchu, przygnębiony.

— Kocha... ona kogoś kocha... — szeptał od czasu do czasu sam do siebie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Książki dla dzieci i młodzieży.

Zapewne niejedne oczka zapłakane roześmiały się, niejedna rozkapryszona twarzyczka się wypogodziła, gdy przeczytano dziecku, którą z tych powiastek p. Jahólkowskiej ze zbiorku „W domu“ (wydanie Kolińskiego. Warszawa). Zbiorku, który jest szeregiem bardzo łatwiutkich, a jednak pełnych treści pouczającej i wdzięku obrazków przeznaczonych dla najmłodszych czytelników, którzy jeszcze pewnie sami nie czytają, lecz już słuchać bardzo radzi: „drukowane-go.“ Te same zalety ma książeczka p. C. Niewiadomskiej, p. t. „Króciotkie powiastki“ (Gebethner i Wolff. 1897. Warszawa. (Ilustracje Holewińskiego), i tomik dawniej wydany, lecz zawsze pożądany J. Chrząszczewskiej: „Opowiadania Ciotuni“ (Orgelbrand. Warszawa 1895.) Te trzy książeczki, mogą się stać na długo dla matki lub nauczycielki treścią do opowiadania owych wiecznie przez dzieci pożądanych powiastek, a każda z nich ma w sobie pewną cechę indywidualną i oryginalność pióra autorki.

W „Opowiadaniach Ciotuni“ przemaga wyobraźnia urozmaicona i dowcip, w „Króciotkich powiastkach“ trafność spostrzeżeń i rozsądek, w obrazkach: „W domu“ wdzięk serdecznego uczucia i bardzo staranne obrobienie pod względem języka. Dla młodzieży, mamy w ręku nowe dziełko J. Chrząszczewskiej p. t. „Dar“, zbiór kilku powiastek drobniejszych i jednej dłuższej, opracowanych wedle Alf. Daudeta. Te drobne szkice na tle przyrody rozwinięte są zajmujące i niepospolite, lecz przygody „Tartarina z Taraskonu“, które znamy w oryginalnym opromienione satyrycznym dowcipem wielkiego pisarza, w pracy przeznaczonej dla umysłówdojrzałych, nie wychodzą w metamorfozie dla młodziutkiego wieku pomyślnie i nie czynią już tego wrażenia subtelnych, a śmiesznych kontrastów, jakich podróży gaskońskiego blagiera jest pełna na każdym kroku. Ironia, sarkazm, krytycyzm towarzyski, czy społeczny, trudno się daje przesadzić na grunt książki dla młodzieży, i choć autorka zręcznie z wielu trudności umiała się wywikłać, choć jej opowiadanie jest żywe i lekkie, całość ma w sobie coś sztucznego i nie swojego.

Wydanie bardzo staranne, (Gebethner i Wolff, 1897), druk wyborny i ryciny niezłe nadają książce ponętny wygląd.

P. Jadwiga Warnka opowiedziała: „Przy domowym ognisku“ (Arct, Warszawa) dwanaście baśni oryginalnych i naśladowanych, bardzo fantastycznych, ale i bardzo poetycznych, z których takie „Zaczarowane skrzyпки“ i „Śpiąca królewna“ są wprost śliczne, łącząc w sobie rzeczywistość wielkich uczuć, jak poświęcenie, miłość piękna, rezygnację szlachetną, z technieniem cudowności i czarodziejstwa, kryjącego w swych przenośniach odcień melancholii wijącej się po ludzkich drogach, jak lekkie nitki babiego lata. Ta sama autorka napisała dłuższą powieść dla młodzieży p. t. „Mały grajek“ (Orgelbrand, Warszawa. 1896) w której kreśli życie chłopskiego pastuszka, obdarzonego talentem muzycznym i trudności z jakimi walczyć mu przyszło, zanim z „małego“ grajka, stał się wielkim artystą i u grobu swej wiejskiej matuli mógł na skrzypkach, które mu sławę zjednały, zagrać pieśń swojej za nią tęsknoty i miłości wśród rozrzuconych słuchaczy pamiętających jego fujarkę i dziecinne biedy.

„Teatr dla dzieci“, (Centnerszwer, Warszawa 1896.) p. Karoliny Szaniawskiej zawiera kilka bardzo udatnych komedijek jak „Córka Króla Ćwieczka“ i „Podróżnicy.“ Powiastka dla dzieci przedstawia nie małą trudność dla autora, cóż dopiero rzecz sceniczna mająca tyle warunków nieodbitych, a niezbyt liczących właśnie z literaturą dziecinną, jak konieczność pewnej zagadkowości położenia, złudzeń, naprężenia stosunków

ludzkich, jaskrawego wykazania wad i śmieszności, wogóle strony komiczno krytycznej tak trudnej do ujęcia w utworze dla dzieci. Autorka nakreślić umiała sceny nietylko zabawne, lecz i bardzo zręczne, choć całość komedijki niejednej niezbyt czasem równo się toczy, a niektóre role są może tu i tam za trudne do oddania dla „dzieci“, którym pracę swą p. Sz. poświęca.

P. Teresa Jadwiga, która już poprzednio wydała duży tom: „Opowiadań Ciotki Ludmiły“, osnutych na tle dziejowym, uzupełniła je nowym zbiorem dopełniającym całokształtu historii polskiej (Petersburg. Grendyszyński, 1897. Nowe opowiadania Ciotki Ludmiły). Oba zatem tomy stanowią całość kompletną dającą obraz dziejów naszych w szkicach i obrazach nietrudnych, a mimo to zawierających sporo szczegółów zajmujących z przeszłości. Do świeżych prac autorki, należy też powieść na tle dziejów rzymskich p. t. „Antea“ (Nakł. Przyjaciela dzieci 1897) i „Szlachetne serca“, trzy powiastki dla młodzieży (Wydanie M. A. Wizbeka, Warszawa), zawierające, jak zwykle u Teresy Jadwigi myśl dobrą i moralny cel i kierunek.

P. Władysław Umiński, znany już autor dzieł dla młodzieży ujął „Pioruny i błyskawice“ (Arct, Warszawa 1897.) w szereg na nauce opartych, a jednak jasnych i swobodnie skreślonych opowiadań o istocie błysku i gromu, urozmaicając treść ciekawymi wypadkami spowodowanymi przez potężne siły przyrody.

Z działu podróży, mamy parę dziełek, w których jedno oryginalnie napisane przez Michała Synoradzkiego „Żeglarz nad żeglarze, (Koliński, 1890, Warsz.) dwa są tłumaczeniami, „Kapitan Trafalger“ Andrzeja Laurie z francuskiego przez W. P. (Centnerszwer, 1807) „W kraju i w Japonii“ przyswojone przez Karolinę L. (Orgelbrand, 1896). „Kapitan Trafalger“ czyta się szybko, dużo ciekawych zdarzeń, parę wybitnych typów, naprężenie biegu wypadków czyni rzecz zajmującą, choć ostatecznie bohaterem jest niemal korsarz, a nie postać istotnie podnioslejsza. W „Żeglarzu nad żeglarze“, poznajemy Krzysztofa Kolumba, postać jednak genialnego odkrywcy wychodzi nie dość wybitnie, co do cech ducha i charakterystyki tej potężnej postaci, uwagę większą niemal odciągają postacie poboczne, a szczegóły wypraw Kolumba, choćby tylko je brać żywcem z jego dziennika okrętowego, dostarczyłyby mogły być niepospolitszych, a bardziej typowych scen i obrazów. Całość jednak ma ruchu sporo, a miejsca bardzo nawet ożywione.

Bardzo pożyteczną książkę dla młodzieży ułożyły panie J. Chrząszczewska i J. Warnkówna. „Rok czytania“ (Orgelbrand, 1897. Warszawa.) — to rodzaj wypisów, rozłożonych systematycznie na rok cały, od Września do końca Czerwca, który stać się może bardzo pomocnym przy nauce, a mianowicie przy kształceniu prowadzonym prywatnie, kiedy nieraz tak trudno ująć zakres podawanych wiadomości w plan ściśły i porządnym rozkład przedmiotu, tak ważnego, jak język i literatura ojczyznej. To właśnie, co książkę tę najbardziej zaleca jest system, ład, kolejne logiczne następstwo treści, ugrupowanie pracy i poezji i ich różnych rodzajów, tak, aby na każdy miesiąc przypadły opisy, wiersze, utwory, mające związek z obecną porą. Pomysł bardzo dobry i przeprowadzony sumiennie. Co do wyboru utworów, możnaby tu i tam postawić znak zapytania; n. p. czy w książce dla młodzieży, jako jedyny wiersz liryczny Mickiewicza trafnie wybraną została „Pani Twardowska?“, czy zamiast licznych współczesnych wierszyków, nie lepiejby zapoznawały młodzież z poezją naszą utwory najwybitniejszych wieszczów, podawane nieco hojniej i wybrane z większą uwagą na wrażenie, jakie wywołują? To samo dotyczy i wzorów prozy. Ponieważ książka zapowiada się jako „część pierwsza“ Roku czytania, zatem niezawodnie autorki plan swój rozwiną w tomach następnych szerzej i że tak powiem, goręcej, ten zbiór czyni nieco chłodne wrażenie, ale ma tę bardzo wybitną i nieocenioną wartość — porządku i planu, co dla podręcznika jest najpierwszym wymaganym

warunkiem, a zarazem pewnikiem dobrego przyjęcia, jakiego ta książka ogólnie już doznała.

Księgarnia M. A. Wizbeka wydała na nowo rzecz dość dawną, ale ciekawą i pożyteczną, oto Michał Wiszniewski staje znów przed nami ze swą: „Pamiętką po dobrym ojcu“ (Warszawa 1897), opatrzoną przez Wł. R. Korotyńskiego krytycznym wstępem, objaśniającym powstanie tej pracy, jej cel i pożytek. Czem była „Pamiętka po dobrej matce“ dla dziewcząt, tam stało się niemal dziełko Wiszniewskiego dla młodzieńców. Psychologia, pedagogia, poglądy społeczne, niezawodnie poszły dalej naprzód, ale „zamilowanie prawdy“, „szlachetność serca“, „umiarkowanie namiętności“, „pogoda umysłu“, „znoszenie cierpień“ i liczne tym podobne struny naciągnięte w ludzkości od dawien dawna, drgają do dziś, a prostota, z jaką ta książka w struny te trąca, jasność i szczerść, z jaką o nich mówi, zyskuje jej nowe prawo obywatelstwa w liczbie najważniejszych, współczesnych wydawnictw tego rodzaju.

Ogółem przebiegając spory zapas naszych wydawnictw dla młodzieży, spotykamy sporo usiłowań i świeżych pomysłów, lecz są i duże braki, które niewątpliwie zresztą przyszłość pracą wypełni. W powiastkach, powieściach, za mało spotykamy sfery rzemieślniczej, roboczej, walczącej; w podróży—dalekie lądy, obce krajo-brazy, cuda przyrody oddalonej, ale niewiele swojskich widoków; w opisach natury za dużo ptaków, a za mało świata owadów, roślin i minerałów młodzież poznaje; psychologia gromadząc przed oczyma młodzieży mnóstwo do zaśladowania przykładów: dobroci serca, litości, pilności, łagodności, za mało działa w tej całej literaturze na rozwój energii, hartu ducha, niezłomnej woli, pracy wytrwałej i zadowolonej z siebie, chociażby się nie tak znów często wszystko dobrze kończyło jak to bywa w tych książeczkach niemal zawsze, a w rzeczywistości życia bardzo rzadko.

Staszyna.

OCHRONKI GALICYJSKIE

I OGRÓDKI FREBLOWSKIE.

Dom i rodzina—są dla tych małych i maluczkich żywiołem, atmosferą, w której, jak roślina na swej macierzystej ziemi, najlepiej wzrastają, najpomysłniej się rozwijają. Tak w teorii idealnej przedstawiałaby się sprawa pierwszego wychowania, lecz niestety i tu jak wszędzie powtórzyć się musi niewydoskonalona formuła: Wesoła i piękna teoria, a smutna praktyka. Ubóstwo, graniczące z nędzą, niedostatki moralne i umysłowe oto główne szkopyły, o które się najczęściej w dolnej, a częstokroć i średniej sferze społeczeństwa rozbijają pierwsze brzaski życia dziecięcia.

I to rozumieć należy zarówno pod fizycznym, jako też i pod psychologicznym względem.

W pomoc tym domom i rodzinom, które nie są w stanie zająć się wychowaniem dziecięcia od roku 3 życia, aż do jego wieku szkolnego, przychodzić mają ochronki i ogródki frebrowskie. U nas w Galicyi są to instytucje bądź miejskie, bądź rządowe, bądź też prywatne. Stolica kraju ma znaczną ilość ogrodków i sześć ochronek, z tych cztery są miejskie, piąta ufundowana przez zakonnice, Siostry Felicjanki, a szósta żydowska z fundacyi zamożnych żydów się utrzymująca.

Każda tedy dzielnica miasta, ma swoją ochronkę dla małych dzieci. Od ogródków frebrowskich różni się ochronki zasadniczo tem, że ogródki frebrowskie zajmują dzieci tylko przedpołudniem, a są tylko dla zamożniejszych przystępne, gdyż opłata najniższa wynosi miesięcznie 2 złr.—zaś ochronki, przyjmują najuboższe

dzieci, (rodzice ich nawet muszą się świadectwem ubóstwa wykazać) są zatem zupełnie bezpłatne, zatrzymują dzieci prawie cały dzień, dają im nadto bezpłatne utrzymanie, dozór, zabawę, zajęcie, pomieszczenie. Zajęcie dziatwy jest w ogródkach prawie zupełnie takie same, jak zajęcie dziatwy w ochronach, z tą może różnicą, że u nas ogródki, jako instytucje płatne mają fundusz na zaopatrzenie się we wszystkie potrzebne i wymagane przez metodę Froebła przybory, podczas gdy ochronki są niezaopatrzone, wiele co do urządzenia pozostawiają do życzenia, głównie pod względem lokalów. Wzgląd ten musi być brany pod uwagę tylko w dużych miastach, jak Lwowie i Krakowie, nie zaś w miastach prowincjonalnych, gdzie o zdrowe, obszerne lokale łatwiej. Ustawa szkolna wyraźnie określa jakie mają być te lokale, przestrzega zatem wszelkie warunki sanitarne i nie dozwala by się ochronki mieściły w budynkach piętrowych. Temu ostatniemu wymaganiu dzieje się wszędzie zadość. Wszystkie ochronki lwowskie, (a gdzieindziej są prawie takie same) mieszczą się w parterowych domkach, otoczonych ogródkami, również wymaganiami rozporządzeniami ministerjalnymi. Dwie miejskie ochronki zostają pod zarządem Siostr Felicjanek dwie pod świeckim zarządem. Czystość panuje we wszystkich wzorowa—tylko niektóre ochronki mieszczą się w domach bardzo wilgotnych, jedna jeszcze w dodatku ma w niektórych salach kamienną podłogę. Skoro jednak mamy przedstawić typ ochronki, weźmiemy za wzór ochronkę miejską dla III dzielnicy miasta, mieszczącej się przy ul. Balonowej i pozostającej pod kierownictwem pańien Wollmanówien.

Lokal schludny, ogród dość obszerny, położenie budynku zdrowe. Sal dla dzieci jest trzy i szatnia. Pierwsza służy za jadalnię, w drugiej przebywają dzieci w czasie swej miniaturowej pracy, zaś w trzeciej bawią się i gimnastykują. Gdy już tak z wyższego zrządzenia wypadło, iż osiłą życia jest praca, tedy i w tym opisie zaczniemy od punktu centralnego, od sali zajęć. Może cokolwiek zamała, jest jasna i z widokiem na ogród. Połowę sali zajmują amfiteatralnie się wznoszące siedzenia, a właściwie stopnie, na których zasiada ten drobiazg w taki sposób, że najmniejsze osóbkki zajmują najniższe stopnie, a większe i największe stopnie górne i najwyższe. Środkiem jest wolne przejście—zaś po jednej stronie siedzą chłopcy, po drugiej dziewczęta. Rozumie się, że po prawicy dziewczęta, a po lewicy chłopcy, bo, czyżby inaczej być mogło?

Dzieciaki przychodzą, a raczej schodzą się już po godzinie siódmej rano i pozostają w ochronie, aż do zmierzchu. Pozostawiwszy rzeczy w szatni, gdzie najczęściej muszą być przez pomocnicę, lub służącą rozbierane z zarzutek, a częstokroć myte i czesane, gdyż tę czynność w wielu domach ludzi biednych uważają za wielkopański zbytek, zwłaszcza jeśli chodzi o codzienne mycie się i czesanie—udają się dzieci do sali zajęć i zajmują swoje miejsca. Gdy już się prawie wszystkie zgromadzą, kierowniczką odmawia z nimi głośno modlitwę, albo śpiewa jeszcze po modlitwie pieśń pobożną, następnie dzieci zajmują swoje miejsca, a kierowniczką im coś opowiada albo uczy wierszyków i śpiewek. Opowiadania bajeczek i powiastek to dla nich raj prawdziwy! Prawdziwie to przejmujący widok, kiedy gromadka słucha, a każda twarz inaczej objawia swe zainteresowanie.

Jedne twarzyczki blade i schorowane, jakimś smętkiem chyba przeczuć przyszłego biednego żywota powleczone, inne trochę obrzękłe, jeszcze inne jasne, pogodne, zdrowe, a są i takie, co wyglądają, jako księżyc w pełni. Ażeby przyzwyczajając je ile możności do porządku i schludności, ochronka ma odpowiednią ilość fartuszków kolorowych, (a w dni odświętne i zakładowe uroczystości—białe), w które ubierają się po przyjeździe do ochronki. Do zabaw, połączonych ze śpiewkami i do gimnastyki, przechodzą do drugiej sali, nie zawierającej prócz wąskich ławeczek pod ścianami—żadnego umelbowania. Ruchu mają dzieciaki pod dostatkiem; są swobodne, ale w karności trzymane. Karność ta robi

nader dodatnie wrażenie, gdy się tak jak w ochronce pańien Wollmanówien spostrzeża, że nie obciąża i nie kępuje ona dzieci, lecz im nadaje oglądę, niedozwalając na wybryki pustoty.

Dźwięczący, srebrny śmiechek rozbawionego dzieciaka, nie jest tu uważany za coś karygodnego, ale na każde skinienie jest cisza, a radość i zadowolenie dzieci, to jedna z największych nagród moralnych dla pracujących nad nimi. Punktualnie o godzinie 12-tej powracają dzieci do sali zajęć, gdzie stojąc z oczyma zwróconymi ku ołtarzykowi z Matką Boską, odmawiają modlitwę przed jedzeniem i udają się do jadalni na obiad. Niziutkie ławeczki pod ścianami zapełniają się dziatwą smacznie zjadającą zupę, którą stawiają przed każdym dzieciakiem na stole, równie długim, jak ławeczki.

Jedzą cynowem i łyżkami, z miseczek blaszanych, polewanych wewnątrz białą, zewnątrz szafirową. Zupa gotuje się na mięsie, zasypuje zaś najczęściej krupkami drobnymi. Dostają także po zjedzeniu tej zupy po kromce chleba. Mające lepszy apetyt i starsze na własne prośby otrzymują drugą porcję krupniku, czy też rosół. Po obiedzie, zwłaszcza w lecie, w upały niektóre dzieci potrzebują snu i tego się im nie wzbrania, a nawet, w niektórych ochronkach są umyślnie na ten cel przeznaczone sienniki, które kładą w lecie dzieciom w ogrodzie, na rozłożonych wpiery matach, żeby ochronić od wilgoci.

Czy jest to higieniczne, czy nie, nie jesteśmy kompetentni do osądzenia, pozostawiamy sąd w tej mierze lekarzom. Raz do roku, odbywa się w grudniu około Świąt Bożego Narodzenia, rodzaj popisu—lub pastoralki. I tak w ochronkach, które kierują zakonnice, odbywają najczęściej jasełka, w których udział biorą dzieci, pod świeckim kierownictwem, grają jakąś wesołą, łatwiutką komediulkę, deklamują i śpiewają.

Opiekujący się ochronką, więc dyrektor wszystkich ochronek z ramienia magistratu wyznaczony, prezydent miasta, namiestnikowa, komisarz dzielnicy, kilka dobroczynnych pań, przybywają na to zakończenie roku, przynoszą kolendę dla dzieci, więc dla niektórych ubrania, i bućki; dla wszystkich torebki z jabłkami i orzechami, a prócz tego dostają strucle. Po tej uroczystości mają dzieci przez 2 tygodnie ferie—zjawiają się bowiem w ochronce dopiero po Trzech Królach. Ochrony są niezawodnie nieodzownymi instytucjami, lecz bardzo dotychczas mało wyposażonemi pod względem materialnym.

Miasto daje na utrzymanie ich stosownie do ilości dzieci, od 50 do 100 złr. miesięcznie. W najmniej licznej, ale za to pod każdym względem wzorowej ochronie, pańien Wollmanówien jest dzieci przeciętnie 70—w zimie mniej, w lecie zawsze więcej—w najliczniejszych dwóch pod zarządem siostr Felicjanek jest około 160,—ale to tylko w lecie, w najlepszych dla biedaków czasach. W zimie mróz i choroby są dla tego biednego drobiazgu klęską grasującą częstokroć między ich szeregami nielitościwie. Po prowincyi, znajdują się ochronki siostr Felicjanek, które w ogóle garną dzieci, zajmują się ich wychowaniem i kształceniem w praktycznym kierunku. Starsze dzieciaki w ochronach (dziewczynki), robią łatwe koroneczki, a nawet pończochy. Dla chłopców wskazanem byłoby łatwe zastosowanie slójdu, ale i to na razie rozbija się o brak funduszu.

Ochrony w ogóle mają wielką przyszłość przed sobą, gdyż one mają być ideałem domu macierzystego, dającego podstawę moralną życiu, dziejącemu prawie w swej dłoni przyszłość dziecka, które kiedyś ma stać się człowiekiem użytecznym dla kraju i dla tych, z którymi go węzy krwi czy serca, czy też ducha wiążą. Ochrona to pierwsze przysposobienie dziecka do przyjęcia tych owoców zdrowych, jakie daje wychowanie, to pierwsze rozwarcie pączka, mającego kiedyś zakwitnąć wspaniale.

Janina S. Aleksota.

dobrze w wykonanie wprowadzić — winien by był na szukaną wprowadzić mnie drogę.

Był zimny wieczór, mgła zwiślała z nieba i czepiała się po drzewach, a blask miłego ognia świecił przytulnie z otwartych drzwi domu, gdym się znowu znalazł w ogrodzie Pomony. Widziałem, jak siedziała przy kamiennym ognisku i ogrzewała piękne, białe, delikatne swe ręce. W kącie siedziała Hersylia i przędła. Obie milczały. Pomona w zadumie zapatrzyła się w ogień, a Hersylia powoli zasypiała przy pracy. Nareszcie wrzeczono wypadło jej z ręki, głowa pochylała się w tył ku ścianie. Zasnęła twardo. Na chwilę tę czekałem cierpliwie.

Wyciągnąłem ku niej ręce i potężnym zaklęciem w tak głębokim pograżyłem ją, śnie, że wiedziałem, iż przez długie godziny się nie obudzi. Potem, gdy Hersylia została w ten sposób usunięta i skazana na rolę głuchego, ślepego i niemego jeno świadka, wziąłem na się postać starej kobiety, odzianej w szarą, ubogą opończę, okrywającą mi nietylko ramiona i głowę, lecz nadto na czoło zwisającą głęboko. Twarz moja była okryta zmarszczkami, ręce drżały, a niepewne, chwiejne kroki szukały pomocy w długim koszturze, którym się podpierałem. Tak zmieniony przestąpiłem próg.

— Miej litość, — zawołałem trzęsącym się głosem, — jestem stara, chora, i zabląkałam się. Z lasów bije groza, a z chmur pomroka. Wrota ogrodu twego leżą w trawie zdrzutotane, weszłam tedy, zwabiona blaskiem twego ognia. Pozwól mi zziębłe członki ogrzać i chwilę odpocząć. Błogosławie penatom domu tego, penatom, od których idzie szczęście, zadowolenie i mir. Kląnam się ogniewi na ognisku twem, kląnam się tobie.

Pomona wstała i uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Pójdź i usiądź, — rzekła, zbliżyła się do mnie i podpierała mnie. Podprowadziła mnie do jasno płonącego ognia. Błogość niewysłowiona opanowała mnie, gdym trzymał się tak jej ramienia.

Gdym usiadł, zawołała na Hersylię, ale ta pod ciężarem mego zaklęcia nie ruszyła się nawet.

— Nie budź staruszki, — rzekłem, — nie potrzebuję niczego.

Pomona wszakże przyniosła mi sama chleba, miodu i wody, potem siadła koło mnie, i podczas gdym jadł, wypytywała mnie: — Jak mogłaś zablądzić? Czemu chodzisz wieczór sama? Czy nie masz męża, albo syna, albo wnuka?

— Jestem sama, opuszczona i nieszczęśliwa, — jęknąłem. — Byłam kiedyś młoda, i wierzaj mi, że piękna, choć może nie tak piękna jak ty. Ale byłam pyszna, sroga i lekkomyślna. Odrzucałam miłość. I tak uciekła mi młodość, uciekła mi krasa — i patrz, jaka dziś jestem! Sama, opuszczona i jakby przekłeta!

Zakryłem twarz rękami, a gdym podniósł oczy, ujrzałem, że Pomona smutna była i zadumana.

— Wybacz, jeśli cię zasmuciła, — rzekłem, — tyś piękna i szczęśliwa, i nie zaznasz nigdy nędzy, którą ja teraz znoszę. Zaiste, musisz być poszukiwana, i może wybrałaś już jednego z młodzieńców. Będziesz żoną i matką.

— Nie mam oblubieńca, — odparła Pomona, — i, jak niegdyś ty, odrzucam też miłość, — dodała opornie.

— W takim razie biada ci, — zawołałem. — Przekleństwo bogów padnie na cię. Nie, padło już teraz. Bo nie masz klątwy straszniejszej, jak nie wiedzieć, co to jest słodkie miłowanie, wierne aż do grobu, głębokie jak niebo.

— Myślisz? — rzekła w rozmarzeniu. — Może przeciwnie miłość jest klątwą?

— Nie bluźnij wielkiej bogini, — zawołałem, — bogini, której święty obraz kąpią o wiosnie w jasnym wodach dziewice, zdobiąc się mirtów lato-roślami! Jeśli miłość sprawia ból, jest to ból pełny najwyższego szczęścia. Widziałam niedawno przelicznego młodziana, w ogrodzie tak czarownym, że nie widziałam dotąd podobnego, pełnym drzew, kwiatów, ulów i srebrnych strumieni. Młodzian ten płakał, jakby serce pęknięte miało. Wzruszona spytałam go: kto jesteś i czemu płaczesz? A on na to: — Jestem Vertumnus. Płaczę, bo kocham. Tę, którą miłuję, wi-

działem tylko raz jeden, i odegnała mię od siebie, okrutna jest! Zwie się Pomona! — Ulecę cię, odpowiedziałam Vertumnowi. Ukoję twój ból. Znam roślinę, która lekiem jest pewnym, bo, gdy spożyjesz ją, zapomnisz. — Precz ode mnie! — zawołał młodzian z przestachem. — Stokroć bardziej chcę raczej cierpieć, aniżeli zapomnieć. Największy postrach w całym wszechświecie zwie się: zapomnieniem. Jedną, jedyną radość mam w życiu: ból swój, bo ten sprawiła mi miłość. Ją chciałabys mi odebrać? — Tak mówił ten młodzian, Vertumnus. Czy pojmujesz to?

— Ja? — odpowiedziała cicho i tęsknie, i zapatrzyła się w ogień, a wielkie łzy kapąły jej z oczów. Zadrżałem całym ciałem. Pomona nie miałaby znać miłości? Z tem marzącem spojrzeniem, z tem tęsknem licem, z temi cichemi, żalonymi łzami? Znała, znała ją niewątpliwie! Ale tem gorzej dla mnie! Miłowała widać innego! Nadzieja moja zgasła, i ból niezmierny przeszył mi serce. Jęknąłem tak rozpacznie, że przyskoczyła do mnie, pytając, co mi dolega.

— Żal, — zawołałem, — żal zmarnowanego, straconego żywota, żal zwiędłej, znikłej młodości, żal usmierconej, wyschłej, bezradosnej duszy mej!

I wybuchnąłem płaczem namiętym, w którym cała istotna rozpacz moja się kryła. Pomona chwyciła mię za szyję, położyła głowę na swej piersi, łzy jej rzęsiście padały mi na czoło.

— Coś nieznanego ciągnie mię do ciebie, — szeptała, — serce me lgnie do serca twego. Za ból twój miłuję cię, za stracone twe życie miłuję cię!

I całowała mię po licach i ustach.

Zapomniałem o wszystkim na świecie i całowałem ją wzajemnie, i nigdy w życiu całem nie byłem tak niewypowiedzianie szczęśliwy, jak w chwili tej. Ale ukłuło mię w serce, że ją tak oszukuję.

— Przestań, drogie dziecię, — rzekłem. — Siadź znowu przy ogniu. Odżyłam, naprzód w ciepłe ogniska, a potem w ciepłe serca twego. Bądź błogosławiona!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Warszawie ma powstać cech mistrzyni wyrobu kwiatów sztucznych. Ponieważ jest to cech, do którego należeć będą tylko kobiety, przedstawia na razie pewne trudności w uzyskaniu, jako nowości, zatwierdzenia władzy odnośnej; przyniosłoby jednak istotne korzyści tylu pracownicom, które w rozpierzchnięciu nie są w stanie interesów swych należycie poprzeć i ustalić.

— Nauczycielka, panna Z. K. podjęła na własną rękę „wydawnictwo siatek“ geograficznych, oraz map tak zwanych „ślepych“ do użytku szkolnego. Wydawnictwo to cieszy się powodzeniem, mapy bowiem rozchodzą się nie tylko w Warszawie i guberniach Królestwa Polskiego, lecz znajdują nabywców nawet w zakładach naukowych w guberniach wewnętrznych państwa.

— Poruszono sprawę powierzenia kobietom urzędu pisarzy gminnych; dotychczas pełniły tylko niekiedy obowiązki pisarzy sądów gminnych, i sądów pokoju.

— Władze przemysłowe udzieliły p. Janinie Kosmowskiej, farmaceucie, pozwolenia na utworzenie w Krakowie zakładu wyrobu i sprzedaży „kefiru“, napoju dyetetycznego, używanego w lecznictwie. Zakład ten prowadzony będzie pod kontrolą zakładu higieny, na wzór istnie-

jących podobnych zakładów w Warszawie i w wielu miejscach klimatycznych.

— Prezydent sądu w Koszycach rozesłał do podwładnych mu sądów pismo, zezwalające na przyjmowanie kobiet jako dyurnistek tam, gdzie, okazał się brak mężczyzn na te posady.

— W Belgii, w prowincyi Hennegau, miejscowości Ghoy władze gminne wybrały pannę Dha-noine na miejsce jej zmarłego ojca poborczynią podatkową, a wybór ten potwierdzonym został przez prowincjonalny urząd deputacyjny. Obecnie trzy gminy w Hennegau, mianowicie w Ghoy, Ecaussines-Lalaing i Erquelinnes mają już na tymże urządzie kobiety pełniące obowiązek władzy podatkowej.

— Przewodniczącą w stowarzyszeniu artystek i przyjaciółek sztuk pięknych w Berlinie została pani Alma Lessing z domu Marschall von Bieberstein, zajmąszy to miejsce po ustąpieniu ministrowej E. von Delbrück. Stowarzyszenie popiera sprawy kobiet pracujących w sztuce.

— Córka pruskiego ministra oświaty, panna Ewa Bosse, siostra zakonu Johanitek, wraz z dwoma innymi zakonnicami ze szpitala św. Jędwigi, zdała egzamin nadający dyplom do prowadzenia apteki domowej. Egzamina tych trzech pań przed berlińską aptekarską komisją egzaminacyjną wypadły z najlepszym skutkiem. Kandydatki przygotowywały do egzaminu p. Froelich, przewodniczącą w niemieckim stowarzyszeniu aptekarskiem.

— W Wormacyi, w gimnazjum, dopuszczoną została za przyzwoleniem ministerium do egzaminu abiturientów córka miejscowego sekretarza sądowego Kehr'a. Młodzieńską panią przygotowywali profesorowie zakładów naukowych, a egzamin jej jest pierwszym wypadkiem tego rodzaju w owej prowincyi. Panna Kehr ma zamiar poświęcenia się studjom medycznym.

— Nowa posada dla kobiety została ustanowiona przez magistrat miasta Berlina, mianowicie, uznano potrzebę mianowania wizytatorki kontrolującej naukę i postęp robót ręcznych w szkołach gminnych. Zadaniem jej będzie: doглядanie nauki robót, plany nauki w tym zakresie ustalać i doskonalić oraz inspektorem szkolnym służyć objaśnieniem i radą przyboczną w czasie przeglądu szkoły.

— Stowarzyszenie kobiet ew. Szkoły dla dziewcząt w siedmiogrodzkim Kronstadzie święciło w d. 14 Lutego, 25 letnią rocznicę twego istnienia. Na uroczystość złożyły się śpiewy uczennic, przemówienie przewodniczącej, pani Julii Fabritius, dyrektora Thomas'a i chór dziewcząt, wieczorem zaś odbył się koncert w domu stowarzyszenia, w czasie którego nauczycielka, panna Lilly Aret popisywała się ze swemi uczennicami, poczem rozlosowano fanty nadesłane na korzyść instytucyi.

— Znany ze swej ruchliwej działalności, tak zwany Lette-Verein w Berlinie, urządził wystawę robót uczennic szkół rozmaitych, obejmującą systematyczne zbiory prac dziewcząt z zakresu rysunku, sztuki, przemysłu, prasowania, zecerstwa, gotowania i fotografii. Zajmująca ta wystawa budziła żywą uwagę świata pedagogicznego.

Z bieżącej chwili.

— Ministerium oświaty zawiadomiło okólnikiem kuratora okręgu naukowego, iż wbrew rozsiewanym pogłoskom, jakoby w r. b. zaniechane być miały egzamina przejściowe w średnich zakładach naukowych, egzamina te odbędą się bez zmiany.

— J. O. Książę Imeretyński zwiedził w wielkim tygodniu Boże groby w kościele P.P. Kano-

niczek, w domu Schronienia Opieki N. M. P., w zakładzie Schronienia N. M. P. przy ul. Żelaznej, w Schronieniu paralityków S-go Władysława i w Schronieniu paralityków przy ul. Nowowiejskiej. J. O. Książę pozostawił wszędzie hojne ofiary.

— Katolicki świat słowiański obchodził 23 b. m. 900 letnią rocznicę męczeńskiej śmierci apostoła Słowian s-go Wojciecha. S-ty Wojciech pochodził z zamoznej rodziny czeskiej. Urodzony w r. 950, wcześniej już poświęcił się stanowi duchownemu i w r. 983 mianowany został biskupem prazkim. Nie mogąc pozyskać uznania u rodaków, opuszcza Czechy i przybywa do Polski, gdzie brat jego był dworzaniem na dworze Bolesława Chrobrego. Bolesław powierza mu zaszczytną misję głoszenia nauki katolickiej w Polsce. S-ty Wojciech udaje się wzdłuż brzegów Wisły, zostaje jednak zdradziecko napadnięty przez prusaków i zamordowany. Bolesław wykupuje zwłoki jego na wagę złota i składa je w Gnieźnie, gdzie dotychczas spoczywają. S-ty Wojciech jest domniemanym autorem pieśni Boga Rodzica, najdawniejszego literackiego i muzycznego zabytku polskiego.

— Według danych zebranych przez ministerium komunikacji przewiozły koleje rosyjskie w 1896 r. 77,502,760 osób i 2,860 milionów pudów towarów małej szybkości. Dochód ogólny wyniósł w roku tym 405,949,338 rs.

— W d. 27-ym b. m. odbędzie się w Paryżu ślub b. redaktora „Kuryera Warszawskiego,” p. Franciszka Olszewskiego ze znaną śpiewaczką p. Mirą Heller.

— Na Pelcowiznie zmarł Antoni Skrzypczyński, znany w mieście od lat kilkunastu żebrak. Pozostawił po sobie dom, morgę gruntu i 7,600 rs. gotówką.

— Pewna warszawska fabryka powozów wysłała do Teheranu kilka karet i powozów, wykonanych na zamówienie szacha perskiego.

— Dyrektorka szkoły żeńskiej Św. Anny we Lwowie, panna Longchamps, wybrana przez gromadę nauczycielską m. Lwowa na delegatkę do miejskiej rady szkolnej okręgowej, zatwierdzona została na tej godności przez krajową radę szkolną. Jest to pierwszy w Austrii wypadek, aby na godność członka okręgowej rady szkolnej wybrano kobietę.

— W przyszłym tygodniu zapowiedziane jest wystawienie na scenie teatru Wielkiego opery Rubinsteina p. t. „Demon.”

— Charlottenburg pod Berlinem zasługuje ze wszech miar na przydomek „klubu wdów.” Według ostatniego spisu ludności z grudnia 1895 r. liczył on 91,911 mieszkańców żeńskich, a tylko 60,471 męskich. Z liczby mężczyzn 25,091 było nieżonatych, 24,195 żonatych, 155 rozwiedzionych, a 1,030 wdowców. Kobiet niezamężnych było 41,361, zamężnych 24,289, rozwódek 402, a wdów nie mniej jak 5,859. Połowa z nich pochodziła z Berlina. Tak było przed rokiem. Dziś Charlottenburg liczy już blisko 10,000 wdów i rozwódek, z których trzy czwarte pochodzą z Berlina.

— Pisma amerykańskie przynoszą sensacyjną wiadomość, jakoby jednemu z lekarzy w Chicago udało się odkryć bacyllusa miłości i że go już z powodzeniem zaszczepił wielu ludziom. Pewien 50-letni kawaler kazał sobie w parę godzin po zaszczepieniu wstawić nową szczerkę, sprawił sobie jasne ubranie i gitarę. Inne nieco wrażeń wywiera zarzek ten na młodzieńców. Pewien 17-letni młodzieniec wlał po wstrzyknięciu bacyllusa funt syropu zamiast do naczynia blaszanego, do torebki papierowej i usiadł zamiast na krześle, na koszu pełnym jaj. Pewien młody pomocnik fotograficzny złożył na kliszy, na której przed chwilą odbiła się podobizna młodej dziewczyny, gorący pocałunek i omal się nie otrul.

— Z początkiem maja spodziewane jest przybycie do Petersburga Pawła Bourgeta, który wygłosi na szereg odczytów o najnowszym kierunku w francuskiej literaturze powieściowej.

— W stanie zdrowia artystki dramatu naszego p. Heleny Marczello nastąpiło ostatnimi czasy znaczne polepszenie. Według zapewnień lekarzy w Meranie, gdzie artystka przebywa na kuracji, powrotowi jej na scenę nic nie stoi na przeszkodzie.

— Pan Aleksander Myszuga zakończył szereg występów swoich na scenie opery lwowskiej. Artysta udaje się na szereg koncertów po Cesarstwie.

— Dnia 16 b. m. zmarł w Warszawie s. p. Arkadyusz Tołoczanow, prezes dyrekcji głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Zmarły przebył na służbie w kraju naszym 30 lat; był w swoim czasie gubernatorem łomżyńskim, następnie radomskim, z którego to stanowiska powołany został na urząd prezesa najpoważniejszej naszej instytucji kredytowej. Zmarły odznaczał się głęboką znajomością stosunków ziemiańskich, a bezstronnością i poczuciem sprawiedliwości potrafił sobie zjednać szacunek ogólny.

— Publiczność warszawska nie będzie się mogła uskarżać na brak rozrywek w bieżącym sezonie letnim. Prócz teatru Rozmaitości i Małego, rozbijają swoje namioty przybyłe z prowincji towarzystwa dramatyczne. P. Wołowski z trupą swoją osiada w Wodewilu, p. Dobrzański próbować będzie szczęścia w teatrzyku Eldorado przy ul. Długiej, a w cyrku na Ordynackim rozbrzmiewać będą tony operetki lwowskiej pod dyrekcją p. p. Hellera i Bandrowskiego. Wystawa inwentarza, wyścigi, koncerta orkiestr w Dolinie Szwajcarskiej i w Bagateli, — wszystko to złoży się na to, ażeby zmuszonym do pozostania przez lato w mieście mieszkańcom uczynić pobyt w niem jaknajprzyjemniejszym.

MYŚLI.

Kto kocha, ten zna wołanie miłości.

Św. Tomasz a Kempis.

Miłość jest rącza, szczerą, pobożną, wdzięczną i miłą; mocna, cierpliwa, wierna, roztropna, szlachetna, mężna, a samej siebie nigdy nie szuka. Gdzie bowiem siebie samego kto szuka, tam nie ma miłości.

Tenże.

Miłość jest przezorna, pokorna i prawa; nie miękka, nie płocha, nie skłaniająca się ku marnym rzeczom; wstrzemięźliwa, czysta, stała, spokojna, a wszystkie zmysły na czujnej ma straży. Znużona nie ustaje, spętana nie traci swobody, straszona nie trwoży się; lecz jako płomień żywy i przenikliwy, wznosi się ku niebu i z pośród wszelkich zawad bezpiecznie wylata.

Tenże.

Bez boleści, nie żyje się w miłości.

Tenże.

Miłość—serca mądrością.

Percy, Byste Shelley.

Miłość porusza słońce i inne gwiazdy.

Dante.

Ach! w—serce się uderz, tam mieszka geniusz!

Alf. de Musset.

To, co człowiek nazywa tu geniuszem—jest potrzebą miłości.

Tenże.

Nie ma tak biednej miłości coby wspomnień nie miała.

Tenże.

Miłość dla duszy tego, który kocha, jest tem, czem jest dusza dla ciała, które ożywia.

La Rochefoucauld.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 4-ty T. II, powieści p. t. *Takisara*, przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Jezus Chrystus pomiędzy uczniami w Emaus (rysunek).—Emaus, przez Szczęsną. — Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg).—Książki dla dzieci i młodzieży, przez Szczęsną. — Ochronki galicyjskie, przez Janinę S. Aleksotę. — Juliusz Zeyer. Vertumnus i Pomona (dalszy ciąg).—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Takisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Arkusz 4-ty T. II. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.